

Maria Dłużewska

Sygnatura notacji: **N0226**

Data urodzenia: **26.09.1951 r.**

Data nagrania: **2008 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Leszek Rysak**

Czas nagrania: **48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Maria Dłużewska: Więc w 1959 roku UNESCO ogłosiło konkurs światowy dla przedstawicieli tych 200 krajów, dla młodych konstruktorów, którzy mają już jakieś osiągnięcia. A ponieważ to było w 1959 roku, kiedy jeszcze nauka polska nie była osaczona przez partyjnych, bo w instytutach ciągle byli ci starzy profesorowie i oni decydowali. Wtedy prezesem Polskiej Akademii Nauk był chyba już właśnie Groszkowski, Janusz Groszkowski. I ponieważ ja miałem za sobą te dwie konstrukcje, no unikalne w skali światowej, udane, to ja byłem wybrany z Polski jako kandydat. I z tych 200 kandydatów wybranych z poszczególnych krajów specjalna komisja miała wybrać sześciu tylko, którzy mieli dostać tak zwany fellowship, żeby studiować tam, gdzie chcą. Ale tylko sześciu z dwustu, z całego świata. I w roku 1960 specjalna komisja jeździła po tych wszystkich krajach, specjalna komisja UNESCO i egzaminowała tych kandydatów. No i przyjechali też do mnie i był egzamin. Oczywiście po angielsku, bo warunkiem był język angielski. No i długo bardzo pytali, co ja robiłem i tak dalej, co ja chcę robić, nad czym pracuję. Taki bardzo długi egzamin. No i pojechali. I tak objechali ten cały świat. I nie pamiętam, albo to było pod koniec 1960 roku, albo na początku 1961, przyszła wiadomość, że ja jestem wybranym, jednym z tych sześciu. To było nieprawdopodobnie zupełnie. To było jak grom z jasnego nieba naprawdę. Ja miałem wtedy dwie małe córeczki, Dorotkę i Ewunię. I myślę sobie, to był fellowship na rok. I każdy mógł sobie wybrać, jeden z tych sześciu, mógł sobie wybrać, co chce robić, gdzie chce robić, co studiować i tak dalej. Ja powiedziałem, że chcę jechać do Harvardu, do Cambridge, Massachusetts, do Centralnego Laboratorium Komputerowego, Computation Laboratory w Harvardzie, i jednocześnie studiować w MIT, który też jest w Cambridge, obok. I dobrze powiedziałem, dobrze. Proszę bardzo. No i nie pamiętam, w kwietniu chyba samolotem wyleciałem do Stanów. I proszę mi wierzyć, że ja przedtem byłem bardzo krótko, tylko w 1957 roku, bo przedtem nie chcieli mi dać paszportu. A w 1957 roku, bo w 1956, jak wiadomo, była ta odwilż troszeczkę, taka...

Ale ja może, jeżeli można, to ja się cofnę. Chciałbym się cofnąć do roku 1954. W 1954 roku jeszcze był duży terror. Było bardzo nieprzyjemnie. I kto mógł, to uciekał z Polski. A w 1954 roku ja byłem kawalerem, bo wprawdzie byłem po jednym małżeństwie, ale po rozwodzie. I byłem sam z moją matką i z bratem. I wraz z moim kolegą z Politechniki, z Januszem Laube, postanowiliśmy wyjechać z Polski, a później, jeżeli się da, kiedy się da, sprowadzić rodzinę, gdzieś. Bo mieliśmy już dosyć absolutnie tego terroru tutaj. Ciągłe ludzie ginęli. Ja nie powiedziałem jeszcze o jednym, że jak byłem między 1951 a 1954 w tym T12, to regularnie, co miesiąc, przychodzili ubowcy i mnie przesłuchiwali. Wyrzucali z gabinetu dyrektora. Zamykali się w tym jego gabinecie ze mną. I zaczynało się od tego: „No, Karpiński, wy już do domu nie wróćcie”. Ja pytam: „A co jest?”. „Bo wy jesteście wróg ludu”. Ja mówię: „A co?”. „Bo wam się Polska Ludowa nie podoba”. A ja pytam: „A dlaczego pan tak sądzi?”. „A dlatego, że wy tak mówicie. Bo wam się nie podoba, że mydło tutaj, które przydziałowe jest, to jest niedobre mydło. Bo powiedzieliście komuś, że za Niemców było lepsze mydło niż to”. Ja mówię: „Panie, bo to nie jest mydło, tylko glina z piaskiem. Nawet się nie mydli”. „To wam się produkt, który Polska Ludowa wam daje, to wam się nie podoba, tak?”. Ja mówię: „Wszystko nam się podoba, tylko że można robić lepsze mydło”. „To wy jesteście wróg ludu. Wy dostaniecie swoje, ale do domu już nie wróćcie”. Ale drugi mówi, ale dziwnie mówi: „Konstruujecie dobrze tutaj, dobrze pracujecie”. Ja mówię: „Bo staram się jak najlepiej”. „No widzicie. Z jednej strony tutaj macie osiągnięcia konstrukcyjne, a z drugiej strony wy plujecie na Polskę Ludową”. Ja mówię: „Nikt nie pluje, tylko normalnie pracuję, a to, że...”. Po 2–3 godzinach kończyło się na tym: „No to panie inżynierze, dobra, niech pan pracuje dalej, tylko niech pan nie mówi źle na Polskę Ludową”. No dobra. Za miesiąc znowu przyjeżdżają. „O, Karpiński, wy już do domu nie wróćcie”. „Co jest?”. „Wam się Polska Ludowa nie podoba?”. Ja mówię: „Jak to?”. „Bo wy mówicie, że tutaj dostajecie przypalone mleko”. Ja mówię: „Bo przypalili mleko, a ja jestem w komisji socjalnej Związku Zawodowego, oficjalnie i mówiłem kucharkom, żeby nie przypalały”. „To wy krytykujecie dary Polski Ludowej”. Ja mówię: „Nie, no ale przecież to można mleko przypalić albo nie przypalić, prawda?”. No i tak dalej, i tak dalej. Znowu się kończyło. I tak było przez trzy lata. A szczególnie przychodzili tuż przed świętami, na przykład Bożego Narodzenia albo przed Wielkanocą. I mówi: „Ha, ha, już do święta nie wróćcie do domu, o nie”. A normalnie bardzo często pan dyrektor Szapiro, jak był w złym humorze, to ganiał po korytarzu i wykrzykiwał: „Bo Karpiński to wróg ludu!”. No i tak było. Więc ja miałem tego wszystkiego już powyżej uszu, naprawdę. I w 1954 roku wraz z Januszem Laube mówimy, trzeba nawiać. Ale jak? Ludzie tam przez Zieloną Granicę, tam tego, kajakami, ale plaże były zaorane przecież. Były patrole, ścigacze tam, no. Bo ludzie usiłowali na Bornholm. Wpływ, kajakiem. To myśmy wpadli na pomysł, my łodzią podwodną. I kupiliśmy taką starą, dużą łódź, metalową, którą chcieliśmy zamienić na okręt podwodny. I Wisłą spłynąć do morza. Szatański pomysł, naprawdę. Zaczęliśmy budować ten pojazd. Do połowy żeśmy już zbudowali tą łódź podwodną. Ale coś ja czułem, że jest to cholernie niebezpieczne. W końcu nie tak łatwo jest łódź podwodną zbudować. Tym bardziej, że nie wiadomo, czy tam nie ma jakiejś sieci po drodze, jakiejś kraty, cholera, no nie wiem. I tak nastał rok 1956. A w 1956 roku jakoś tak powiało odwilżą. Autentycznie. A ja pierwszy naiwny, w ogóle uwierzyłem, że będzie jakiś zwrot w polityce. I mówię Januszowi: „Janusz, właściwie no nie ma sensu”. A on mówi: „Nie, wiesz, ja uważam, że trzeba nawiać”. Ale w 1955 roku ja poznałem taką miłą bardzo dziewczynę. I jak głupi jakiś, pomyślałem sobie, że trzeba się ożenić. A przede wszystkim urodziła się córeczka, Dorotka. I tym bardziej, myślę sobie, mam rodzinę, już nie tylko mamę i brata, ale mam córeczkę. No, nie mogę wyjechać. A tu się zmienia politycznie. A Janusz mówi: „Ja nie wierzę, ja nawiewam”. I wtedy otworzyli w ramach tej odwilży, otworzyli te wycieczki zagraniczne. Do Szwecji, do Francji, do Niemiec. I on się zapisał na wycieczkę do Szwecji. I tam został już, bo to był masowy exodus przez te wycieczki. Janusz

później drogą okrężną, tam do Anglii i aż do Kalifornii zawitał. I tam osiadł w Kalifornii. A ja zostałem. No ale trafiłem do Stanów Zjednoczonych oficjalnie jako UNESCO fellow. I po ośmiu miesiącach, właściwie po dziewięciu miesiącach studiów na Harvardzie i pracy, miałem pracę w laboratorium, w Computation Laboratory. Po studiach w MIT, Massachusetts Institute of Technology. Poprosiłem takiego oficera łącznikowego UNESCO, z którym od czasu do czasu miałem kontakt, czy ja nie mógłbym zwiedzić różnych innych uniwersytetów, zakładów rozwojowych, politechniki, laboratoria słynne. A on mówi: „Dobrze, zorganizujemy”. Na pierwszy ogień przyjechał do Computation Laboratory, gdzie byłem, jakiś gość samochodem i sekretarka. I mu mówi: „Jacek, przyjechał jakiś facet, chce się z tobą widzieć. Gość wygląda na FBI”. Ja mówię: „No dobra”. Rzeczywiście przyszedł i mówi: „Słyszałem, że pan chce zwiedzić różne laboratoria, zakłady”. Ja mówię: „Tak”. „Czy pana interesuje IBM, Centralne Laboratorium IBM?”. Ja mówię: „Jak najbardziej”. „To bardzo proszę. Chce pan teraz?”. „Tak”. „To zapraszam”. Przeszliśmy do samochodu i zawiózł mnie do... Chyba to się nazywało York Heights. To był kawałek drogi, bo to już niedaleko było Nowego Jorku, a przecież myśmy byli w Cambridge, bardzo blisko Bostonu. W każdym razie długa droga była i nagle moim oczom ukazuje się wśród łąk jakiś olbrzymi gmach niebieski ze szkła. Olbrzymi. On mówi: „No właśnie to jest to laboratorium”. Na pustkowiu, naokoło tylko szyby niebieskie. Żadnych murów, nic, tylko po prostu szyby. Przyjął nasz szef tego Centralnego Laboratorium i pyta, co ja chcę zobaczyć. Ja powiedziałem: „Wszystko to, co nowego robicie”. A on zapytał, czym ja się zajmowałem. Ja mu powiedziałem, że to i owo. „A bardzo proszę”. I oprowadził mnie osobiście po całym laboratorium i pokazał rzeczywiście to, co oni robią. A na końcu zapytał, czy ja chcę tam pracować. Ja powiedziałem, bardzo ciekawie rzeczy robicie, ale ja mam swoją pracę w Polskiej Akademii Nauk, mam swoje laboratorium i na razie tam zostanę. „Aha, dobrze, dobrze. Jak pan będzie chciał, to bardzo proszę się zgłosić tutaj”. „A, dobrze, dziękuję”. No i wróciliśmy. A to były naprawdę ciekawe rzeczy, które nowe robili. Ale dla mnie one nie były takie bardzo dziwne, bo ja ciągle studiowałem najnowsze rzeczy, trendy i tak dalej. Rozmawialiśmy jak fachowcy. No i: „Odwieź mnie z powrotem”. I zapytał, co ja chcę dalej. Ja powiedziałem całą marszrutę, że ja chcę zwiedzić Filadelfię, bo to był bardzo słynny ośrodek Moore School of Electronics, gdzie tłumaczenia, bo ja głównie zajmowałem się sztuczną inteligencją. Znaczą budową komputerów też, logiką, ale również tłumaczeniem maszynowym, tłumaczeniem z języka na język, rozpoznawaniem języka i tak dalej. Takie generalnie zagadnienia sztucznej inteligencji. Bo to była wtedy, zresztą do tej pory jest, najważniejsza i najtrudniejsza część informatyki i elektroniki. Ale jeszcze może taki wtręt, jak mnie tam przyjęli, cofnę się do początku pobytu w tym Computation Laboratory. Szefem tego był profesor Edinger, Tony Edinger, który mnie przyjął z otwartymi ramionami jak przyjaciela jakiegoś. „A, Jacek, fajnie, to ja jestem Tony. Cześć, tutaj jest twój pokój, bardzo proszę, tutaj jest klucz do tego budynku, do wszystkich pokoi, na zewnątrz i tak dalej. Czuj się tu jak u siebie w domu. Masz tu wejście o każdej porze dnia i nocy”. I mnie wtedy jakby piorun strzelił. Ja myślę sobie: jak to? Ja przyjeżdżam tutaj zza żelaznej kurtyny. Obcy człowiek. Tu jest laboratorium, gdzie są naprawdę tajne rzeczy, gdzie są przyrządy warte miliony dolarów. I on mi daje klucz do tego wszystkiego i mówi: „Wchodź tu kiedy chcesz, bez obstawy”. No po prostu mną tak trzepnęło wtedy, że po prostu nawet dychać się nie mogłem. Ja mówię „A jak to?” – „Ale tak” – mówi. „Czuj się jak u siebie w domu. Jesteś jednym z naszych”. I przedstawia mi po kolei współpracowników. Wszyscy po imieniu oczywiście. A tutaj mówi: „W twoim pokoju będzie również Edward Moore”, profesor, słynny notabene pionier teorii automatów skończonych. Fantastyczny człowiek. Mieliśmy właściwie biurko przy biurku. To był doskonały kompan do bardzo ciekawych rozmów. Bardzo dużo od niego się nauczyłem. Właśnie teorii automatów. On był jednym z twórców tej teorii. Bardzo świetny facet. On miał również wykłady na MIT i w Harvardzie. I on mnie zabierał na te wykłady. Ale również gadaliśmy, to obgadywaliśmy w po-

koju. I taka scenka na przykład. Rano przyjeżdżam, przyjeżdża Tony, ten profesor Edinger, szef tego wszystkiego. I przyjeżdża taki stróż, taki cieć, który tak niewyraźnie mówił. I on trzep tego Tony'ego po ramieniu, ten cieć i mówi: „Tony, widzę, że kupiłeś nowy samochód”. A on mówi: „Tak”. „O, fajna bryka” – mówi. „Mogę się przejechać, spróbować?” – „Spróbuj, masz”, dał mu kluczyki. I ten pojechał, wraca. „Fajna bryka” – mówi. Takie właśnie są stosunki w Ameryce, w instytutach. Tam się wszyscy czują jak jedna rodzina. Nie ma tam, że pan profesor, a tu cieć, a tu sekretarka, a tu... Nie. Wszyscy są po imieniu i autentycznie są bezpośrednio jakoś tak związani jeden z drugim. I to było dla mnie szokujące. I takich szoków było mnóstwo. I takim szokiem był na przykład... Powiedzieli mi, że ja muszę założyć sobie konto w banku, dlatego że moje... Mój ten „fellowship” cały, to nie było dużo, to 300 dolarów. No, wtedy to było coś tam miesięcznie. Ale oprócz tego, były wszystkie kursy i tak dalej. Więc ja założyłem to konto w banku, ale miałem jeszcze 100 dolarów. I mówię, to ja wpłacę te 100 dolarów na to konto. No dobrze. Założyłem to konto, oddaję te 100 dolarów. Ten przyjął. Mówię: „Dobra, dziękuję”. Więc ja odsunąłem się na bok, następny. Następny tam pobiera, następny wpłaca 500 dolarów, wpłacił i odchodzi. A ja czekam na pokwitowanie. Jak tak dziesięciu już wpłaciło i wyszło, myślę, cholera, to ja... To ja wpłacam, nie mam żadnego dowodu, że ja wpłaciłem te 100 dolarów. Pod strachem Boga wyszedłem stamtąd. Myślę, czy ja mam te 100 dolarów, czy nie. No potem się okazało, że jest te 100 dolarów na koncie. Ale to był szok. To był szok. I takich szoków było na każdym kroku. Przenosili jedną bibliotekę do innego gmachu. Widzę, że oni palą książki. Palą. I pytam, dlaczego palą te książki? Bo transport będzie droższy niż zakupienie tych książek bezpośrednio do nowej biblioteki. Oczywiście nie palili jakichś starodruków czy tam czegoś, tylko te książki, które można w tej chwili kupić w księgarni. To je palili. Nie no, to było straszne. Do tego stopnia, że ja po czterech tygodniach pobytu tam, ja poczułem się chory. Psychicznie chory. Ja po prostu nie wytrzymałem tych różnych takich stresów z powodu tych różnic, tak powiem, obyczajowych, tego wszystkiego. Bo na każdym kroku to jakby człowiek w łeb dostawał. Pozytywnie, ale to było za mocno. Do tego stopnia, że ja się zastanawiałem, czy nie wrócić w ogóle. Do tego stopnia. Ja zatęskniłem za Polską. Za normalnymi stosunkami. Ale wytrzymałem to i później już się czułem bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Miałem tam przyjaciół. Ale też ja wynajmłem taki pokoik, ale starałem się oszczędzać, bo ja chciałem kupić przynajmniej na raty jakiś samochód, żeby się poruszać. Bo tam bez samochodu w Ameryce to człowiek jest trupem. Więc jakiś samochód. Najpierw kupiłem za 100 dolarów, ale on się szybko zepsuł. Ale też taki szok. Kupiłem za 100 dolarów Ford Fairlane. Piękny samochód, kabriolet, ósmocylindrowy, z automatycznie nakładanym dachem. Przyciskało się, pstryk już nie był kabriolet, tylko był sedan. Guzik i ten dach się automatycznie składał. Radio, wszystko kosztowało 100 dolarów. Kupiłem u dilera na stacji benzynowej. I pytam: „No dobrze, ale ile ten samochód pali?”. On mówi: „Nie wiem”. „Jak to, nie wiem?”. „Panie, a czy to panu nie wszystko jedno, ile on pali?”. „Ile to kosztuje?”. Galon benzyny, a galon to chyba 4,5 litra, nie pamiętam ile to, ale dosyć duży, kosztuje 24 centy. Mówi: „Panie, czy pan wydasz 3 dolary, czy 5 dolarów miesięcznie, to naprawdę wszystko jedno”. Ja mówię: „No rzeczywiście”. I to był też szok. Na każdym kroku. Ale on się szybko zepsuł. I później pomyślałem, a to ja jednak kupię już taki samochód, gdzie mógłbym... na raty, bo nie miałem pieniędzy, ale myślę, że w ciągu roku uzbieram na to, żebym kupił. Tam samochody są bardzo tanie. I kupiłem nowego Forda, ale takiego kompakt. Żeby nie ten potwornie duży, tylko normalny, 6-cylindrowy, ale automat oczywiście, bo tam innych się nie używa. No i... ale to już było niedaleko mojego wyjazdu w objazd, bo ja powiedziałem, że jeszcze Filadelfię, Alabamę, Florydę, potem Texas, Arizonę, Los Angeles, San Francisco, Berkley, Stanford, później przez Wyoming, uniwersytet, jak on się nazywał, w Illinois, Chicago, Niagara i z powrotem Boston. Takie na około Stanów Zjednoczonych dokładnie. Ale jeszcze po drodze chciałem zwiedzić, to już tak prywatnie, bez oglądania uniwersytetów, Reno i Las Vegas.

bez oglądania uniwersytetów, Reno i Las Vegas. Las Vegas, słusznie. A w drodze powrotnej Reno. I byłem 4 chyba dni, czy 5 dni Moore School of Electronics w Filadelfii. Chodziłem tam na wykłady pana profesora od tłumaczeń maszynowych, bardzo ciekawy. I coś, bo tam jest zwyczaj w Ameryce, że w czasie wykładów prowadzi się dyskusję z profesorem. Pyta się, dyskutuje się, nie to, że powiesz: bla, bla, bla i swojej mówi, nie. Można dyskutować. Ja coś wtrąciłem, że to właściwie można przy pomocy meta języka. A on mówi, nie ma meta języka, taki nie istnieje. Ja mówię: „Panie profesorze, istnieje”. „A skąd pan jest?”. A ja mówię: „Z Polski przyjechałem”. „A, no dobrze”. Ale on mówi: „Porozmawiamy po wykładzie na ten temat”. I on po wykładzie mówi: „No to co pan powie o tym meta języku?”. A ja mówię: „Panie profesorze, meta język to jest to, czym my posługujemy się wewnątrz nas, w naszym mózgu. Niezależnie od tego, co my słyszymy, to my przekładamy to na meta język. Niezależnie od tego, co będziemy mówić, to my myślimy w meta języku naszym”. On mówi: „To nie, to zła teoria”. A ja mówię: „Ale jest prosty dowód na to”. „Jaki?” – mówi. „Jeżeli pan słyszy coś w jakimś, obojętnie w jakim języku, to pan to zapamiętuje jakoś tam. Jeżeli pan jest w kinie, to pan zapamiętuje to, co tam mówią, treść w swoim meta języku. Jeżeli czyta pan książkę, to pan zapamiętuje to w swoim języku. I później bardzo często nie pamięta pan, w jakim języku pan czytał książki, czy to było ten, tylko pan pamięta treść. To jest to zapamiętane w tym meta języku naszym”. Temu robiły się coraz większe oczy. I mówi: „Wie pan co, pan ma rację”. I mówi: „Ja pana bardzo przepraszam, ale ja myślałem, że tu przyjechał jakiś głupek z Polski. Ja pana bardzo przepraszam. Czy ja mógłbym z panem mieć kontakt? Jak pan długo tutaj będzie?”. Ja mówię: „Cztery dni”. „To bardzo bym chciał wszystkie lunchy razem z panem spędzić i porozmawiać”. No i rzeczywiście zapraszał mnie codziennie na lunch i gadaliśmy o tym, o meta języku, o... Ja mówię: „Tak samo, wie pan, gramatyka. Chomsky z MIT mówi, że wierzy w gramatykę bezkontekstową. Ja mówię: „To jest bzdura, panie profesorze. Bzdura. Nie ma gramatyki bezkontekstowej. Nie ma nic w ogóle informacji bezkontekstowej. Nie tylko gramatyki”. I na ten temat dyskutowaliśmy i ja mu dawałem dowody po prostu. A on mówi: „A czy pan rozmawiał z Chomsky w MIT?”. Ja mówię: „Rozmawiałem, ale on nie chciał w ogóle dyskutować. A ja mu powiedziałem, że panie, nie ma gramatyki bezkontekstowej”. A tam, wielki człowiek i tam poszedł sobie. A ten uwierzył i mówi: „Panie, pan ma rację. A ja myślałem, że tu przyjechał jakiś głupek z Polski, zza żelaznej kurtyny”. Ale to jakoś się wieść rozeszła widocznie, bo jak przyjechałem do Teksasu, to mnie przyjął cały areopag Uniwersytetu i władz miasta. Aż mi było głupio. Zaprosili mnie na rodeo. To była taka wielka arena i tam do łoża honorowej mnie zaprosili, obok siedział jakiś pan, tu jakaś pani. No i na samym początku, tam orkiestra, jakieś konie, ale światła gasną i reflektor skierowany na naszą łożę. I przez megafon: „Witamy ekscelencję, ambasadora Wielkiej Brytanii w Stanach Zjednoczonych”. A to siedział obok facet. Brawa tam. „Witamy, inżyniera Jacka Karpińskiego z Polski Akademii Nauk”. Brawa wielkie, reflektor na mnie znowu. Myślałem, że mnie szlag trafi. To głupio cholernie. Przywitaliśmy się, a dzień dobry, porozmawialiśmy. Następnego dnia zaprosili mnie na zwiedzanie tego uniwersytetu, a później na jakąś tam wystawę młodych talentów rolniczych. Ja pytam: „O co to chodzi?”. A tam różne kury, a to krowy, a to świnia, a to to, a to owo. Ja mówię, no, ciekawie, ale to dla mnie może nie bardzo. Ale nic nie mówię, tylko pytam, na czym ta wystawa polega. A tutaj mi mówi przewodnik: „Widzi pan, co roku młodzi adepti, którzy chcą, młodzi rolnicy, którzy chcą założyć własny biznes, dostają od sponsorów pieniądze na założenie tego. A po roku muszą się wykazać, co oni z tymi pieniędzmi zrobili, co oni osiągnęli”. Ja mówię: „No dobrze, ale to właściwie, co w tym, jaki interes mają sponsorzy?”. A on mówi: „Bo sponsorami są inni obywatele, którzy mają własny biznes. A to zegarmistrz, a to taki handlarz, a ten to sprzedaje rowery, a ten to sprzedaje motocykle, a ten to meble, a ten to papiery. Jeżeli ci ludzie, młodzi, będą mieli pieniądze, to będą kupowali u tych właśnie sponsorów. Będzie więcej ludzi zamożnych, będzie więcej ludzi

bogaty i wszyscy się będą mieli bardzo dobrze. Tak to działa". Ja mówię, genialne to jest, naprawdę, ale znowu stres diabelny. Wyobraźcie sobie tutaj u nas coś takiego, nawet w tej chwili. A przecież to jest takie proste, prawda? Dać ludziom, żeby się wzbogacili, żeby pomogli w biznesie, a nie, tak powiem, kręcić biznes innym. Proste. Ale u nas nie, u nas każdy sobie rzepkę skrobi. Byłem zaproszony też w Teksasie do takiego prywatnego domu, takiego starego, kowbojskiego domu, że tak powiem, gdzie córka akurat przyjechała, były jakieś drobne wakacje czy coś takiego. I tam się dowiedziałem, że... już przedtem wiedziałem, że to jest norma, że wszyscy młodzi ludzie wyjeżdżają na studia, ale nie tylko na studia wyższe, ale na college tak zwany, college, to tak jak u nas między maturą a technikum, coś takiego, do innego miasta. No i było bardzo fajnie. I poznałem zwyczaję po prostu domów amerykańskich i tych rodzin amerykańskich. Bardzo mili, bardzo mili ludzie. Tak. Wczoraj powiedział pan takie zdanie, jak mówiliśmy o Bogu, że tak naprawdę najważniejsza jest rodzina. Co pan na ten temat myśli? To znaczy rodzina i przyjaciele. Rodzina i przyjaciele. Najważniejsza jest, bo człowiek niezwiązany uczuciowo, ja mówię o rodzinie normalnej, gdzie jest jakiś związek uczuciowy. Człowiek niezwiązany uczuciowo z nikim jest manekinem przecież. Jest generalnie biednym człowiekiem albo złym człowiekiem. Jeżeli dziecko jest wychowywane w miłości, ale w poszanowaniu jego człowieczeństwa, człowieczeństwa tego dziecka. Dziecko musi się czuć, że ono jest ważne, może nie najważniejsze, bo to znowu nie byłoby dobre, myśleć tylko o dziecku można, nie. Ale ono musi się czuć związane z rodzicami, z rodzeństwem, z przyjaciółmi. I gdyby tak było generalnie, to świat byłby lepszy naprawdę. No niestety jest bardzo wielu ludzi złych. A że ci ludzie są zli, to wynika z tego głównie, że oni mieli złe dzieciństwo. I to tak idzie, to jest z pokolenia na pokolenie toczy się ta fala tych ludzi biednych i złych, i tych ludzi dobrych. Tylko jakoś tak dziwnie się składa, że wydaje się, że jest coraz więcej ludzi tych niedorozwiniętych. Niedorozwiniętych, nie tylko myślę o rozwoju naukowym czy umysłowym, ale o rozwoju uczuciowym. Bo człowiek o rozwiniętych zmysłach uczuciowych, na ogół nie może być złym człowiekiem. Na ogół jest mądrym człowiekiem. Prawda jest taka. Ja uczestniczyłem w bardzo wielu takich kongresach naukowych, będąc jeszcze w Akademii Nauk. Nie tylko, dawniej to nie były tylko kongresy takiej czy innej specjalności. To były kongresy wielodyscyplinarne, gdzie mówiło się o rozwoju człowieka, o rozwoju umysłowym, o rozwoju człowieka w ogóle. Od pierwszych miesięcy, czy od pierwszych tygodni, od pierwszych dni. Co jest ważne? I jest jasne, że bardzo niewielu rodziców stoi na wysokości zadania, żeby to dziecko wyrosło na mądrego i dobrego człowieka. Bardzo niewiele. I niestety ten odsetek jest coraz bardziej negatywny dla tych mądrych ludzi. To znaczy ocenia się, że ludzi naprawdę myślących jest powiedzmy sobie 30%, a ludzi jako tako twórczych jest 4%, a ludzi naprawdę twórczych, którzy popychają świat do przodu, to jest jakiś drobny ułamek procenta. I niestety odsetek tych... bo jeszcze trzeba przyznać, że jakieś 50% to w ogóle głupole są. I ten procent głupoli rośnie. To co mówię to nie jest popularne, a szczególnie dla niektórych jest bardzo niepopularne. Ale taka jest prawda. Taka jest prawda. I ponieważ ustrój demokratyczny jest uznany jako ten najlepszy z najgorszych, no w zasadzie rzeczywiście trudno wymyślić coś lepszego, ale z drugiej strony wiadomo, że to jest idiotyczne zupełnie, że ci głupi ludzie mają taki sam głos i taką samą wagę przy wyborze parlamentu, różnych władz i tak dalej, jak ci mądrzy ludzie. To jest zupełnie idiotyczne i rezultat mamy jaki. W tej chwili to jest karykatura. Przecież wybory do sejmu u nas to jest karykatura wyborów. Bo jest konkurs, która partia zbierze więcej głupoli, żeby mieć głosy. A to czy on jest popularny z tego powodu, że pije dużo piwa, czy że się wygłupia w Big Brotherze czy w innym tam tym, czy jest dobrym bokserem, czy potrafi szybko pedałować, to nie jest ważne. Najważniejsze, żeby było na tyle głośne nazwisko znane, obojętne czy znane z dobrych stron, czy ze złych stron, żeby ludzie postawili krzyżyk, żeby zagłosowali na nim. I oni są takim ciałem do głosowania. Rezultat mamy. Jak to zmienić, jak to poprawić, ja nie wiem. Nie wiem. Bo zdawałoby się... Jakie kraje mają fantastyczny

rozwój? No niestety kraje o władzy absolutnej. Tak jak Arabia Saudyjska, prawda? No ale oni mają ropę. I oni mogą sobie pozwolić na to, że tylko ten władca może być mądry i wtedy uszczęśliwi wszystkich, albo na tyle głupi, że unieszczęśliwi wszystkich. I tutaj już jest ryzyko. Albo ustrój totalitarny, tak jak Hitler wprowadził czy Stalin, czy rozwój i Niemiec, i Związku Radzieckiego była naprawdę w pewnych zakresach... kolosalnych był postęp. Pobudowali Niemcy autostrady, przemysł. No ale z drugiej strony, wiadomo jak byli wychowywani Niemcy i co później nastąpiło. Tak samo Chiny w tej chwili. No proszę sobie wyobrazić, że Chiny mają najlepszy rozwój w tej chwili ekonomicznej na świecie w ogóle. I podbijają świat. Ale kosztem czego? Kosztem gnębienia ludzi, własnego narodu, trzymają na za pysk. To jest fatalne. I proszę mi wskazać jakąś rzeczywiście dobrą metodę zarządzania krajem.